

NASZE SŁABE PAŃSTWO

W numerze:

Miękka Polska

Maciej Gurtowski 3

Nie potrafimy realizować własnych celów

Z Arturem Wołkiem rozmawia Bartłomiej Radziejewski 6

Dlaczego nikt nie mówi o „Słabym państwie”?

Rafał Matyja 10

Wojna ze „śmieciówkami” to tylko reformatorski spektakl

Krzysztof Bosak 14

Obama chce obronić cyberszpiegów

Michał Kuź 16

Nasza kolej na rozdrożach

Michał Beim 18

Miękka Polska



MACIEJ GURTOWSKI

stały współpracownik „Nowej Konfederacji”,
socjolog

Nasz kraj jest dokładnie na tyle słaby, aby dać się wykorzystywać, i jednocześnie na tyle silny, aby można tu było utrzymać w miarę dobrą infrastrukturę i owo wykorzystywanie usprawnić.

Co miał na myśli były minister sportu Mirosław Drzewiecki, nazywając w słynnym wywiadzie Polskę dzikim krajem? Zapewne wiedział, co mówi. Zasiadał wszak w ławach poselskich od kilkunastu lat, a co bardziej istotne – był odnoszącym sukcesy biznesmenem, a także skarbnikiem PO w latach 2003–2009. Jako jeden z najbliższych współpracowników premiera Tuska Drzewiecki z pewnością należał do kręgu „tych, którzy wiedzą”. Za tym, że jego wyznanie może być szczere, przemawiają widoczne na nagraniu rozgoryczenie oraz symptomy „choroby filipińskiej”.

Kraj dziki czy miękki?

Być może w wywodzie Drzewieckiego faktycznie coś jest na rzeczy. Polska naturalnie nie przypomina obszarów naprawdę zapóźnionych cywilizacyjnie. W kranach jest czysta woda, na ulicach panuje względny porządek, nie rozsypują się domy i nie walą się mosty; a mimo to interesy „Mirów i Zbychów” też wciąż mają się dobrze.

Wydaje się więc, że nasze państwo znacznie lepiej opisuje słowo „miękkie” niż „dzikie”.

Miękkie państwo to zaś takie, którego instytucje działają wtedy, gdy jest to korzystne dla potężnych, a nie działają, gdy potrzebują tego słabi. Kiedy w przestępstwo zamieszani są politycy, często giną akta, a nawet świadkowie. Zaś gdy inwalida skutecznie obroni się przed rabusiem, wówczas jest targany po komisariatach.

Miękkie państwo i jego agendy jest stanowcze i brutalne jedynie wobec słabych. Przed silnymi gracjami jest usłużne i uległe. Nie ma silnej armii, nie ma ambicji kreowania faktów politycznych w innych państwach regionu. Miękkie państwo nie ma strategicznego interesu, dla niego istnieje tylko „bieżączka”.

Obywatele, przedsiębiorcy i naukowcy w miękkim państwie, jeśli osiągają sukces, to częściej pomimo niego, a nie dzięki jego pomocy. Na domiar złego miękkie państwo wcale nie jest małe i tanie. Lawinowo gromadzi dług i obrasta biurokracją.

Jeśli Polska jest istotnie państwem miękkim czy też, jak chce Drzewiecki,

„dzikim,” to warto zastanowić się, komu może na takim stanie rzeczy zależeć. Jacy wpływowi gracze zdolni do wywarcia presji na rządzących mają interes w podtrzymaniu naszego miękkiego status quo?

Słabość państwa nie oznacza bowiem jego całkowitej bezsilności czy anarchii. Podmiotom mającym w naszym kraju poważne interesy zależy na tym, żeby Polska była akurat na tyle słaba, by można było osiągnąć w niej nienależne korzyści, i jednocześnie na tyle silna, aby można tu było utrzymać infrastrukturę pozwalającą na bezpieczne i sprawne działanie.

Miękkie państwo i jego agendy jest stanowcze i brutalne jedynie wobec słabych. Przed silnymi graczami jest usługne i uległe

Nasi dwaj najpotężniejsi sąsiedzi mają np. interes w tym, aby Polska nie mogła przeciwstawić się budowie gazuociągu Nord Stream. Jednocześnie jednak obu krajom zależy na tym, by sytuacja społeczna, polityczna i gospodarcza w Polsce pozostały w miarę stabilne.

Niemcy nie chcą np., aby w Polsce zbyt szybko rozwinął się przemysł, jednocześnie jednak leży im na sercu przejezdność naszych dróg. Rosja z kolei ma interes w tym, aby polskie instytucje sektora bezpieczeństwa nie były zbyt silne. Jednocześnie jednak zależy jej na tym, aby pracownicy jej ambasady nie musieli bać się spłonienia w nagłym pożarze.

Podobnie oligarchia biznesowa i zagraniczne korporacje mają interes w tym,

aby organa ścigania i instytucje wymiaru sprawiedliwości nie były zbyt skuteczne w wykrywaniu i karaniu nadużyć gospodarczych. Jednakże prowadzenie interesów na jakimś terenie wymaga choćby tymczasowej osobistej tam obecności. Zagraniczni przedsiębiorcy nie chcieliby zaś zostać porwani czy napadnięci na ulicy przez pospolitych rabusiów.

Polska słabość wtedy i dziś

W odniesieniu do Polski określenie „miękki kraj” wprowadził opublikowany w 2000 r. na łamach „Polityki” artykuł Mirosławy Marody i Jerzego Hausnera. Tekst zawierał wnioski z raportu „Jakość rządzenia. Polska bliżej Unii Europejskiej”. Zdaniem Hausnera i Marody Polska posiadała ówczesne cechy tzw. miękkiego państwa, czyli cechowała się:

„Niskim poziomem dyscypliny społecznej, znacznymi niedostatkami w ustawodawstwie, nieskutecznością w egzekwowaniu prawa, rozpowszechnieniem korupcji, wykorzystywaniem władzy politycznej oraz gospodarczej do realizacji partykularnych interesów jednostek i małych grup, niską efektywnością wykorzystania funduszy publicznych, samowolą i niedyscyplinowaniem urzędników oraz niską skutecznością we wprowadzaniu reform”.

Autorzy raportu dodają także, iż na najogólniejszym poziomie w Polsce administruje się, a nie rządzi, zaś nieodpowiedzialność ma charakter trwały – zinstytucjonalizowany. Dziś po ponad trzynastu latach uderza fakt, że mimo akcesu do struktur europejskich, sanacyjnych rządów PiS 2005–2007 i kontrreformacji gabinetu PO po 2007 r. żadna z tych „Miękkiego kraju” nie straciła na aktualności.

Sam termin „soft state” (można tłumaczyć zarówno jako państwo „słabe”,

jak i „miękkie”) został wprowadzony w latach 60. przez Gunnara Myrdala, słynnego szwedzkiego ekonomistę i socjologa, laureata Nagrody Nobla.

W latach 50. jako sekretarz jednej z oenietowskich komisji Myrdal odbył podróż badawczą po państwach Azji Południowo-Wschodniej. Jej efektem było trzypięcioletnie studium zatytułowane „Dramat Azji, badania nad przyczynami ubóstwa narodów” (Asian Drama, an Inquiry into the Poverty of Nations). Sparodiowanie tytułu klasycznego dzieła Adama Smitha wyraźnie zdradzało reformatorskie ambicje socjaldemokraty Myrdala.

Szwedzki badacz określił kraje Azji Południowo-Wschodniej jako „miękkie” w opozycji do nowoczesnych państw Europy Zachodniej. „Miękkie państwo” według niego to takie, w którym obywatele nie mają względem jego instytucji wysokich oczekiwań. Polityka nie jest w nim prowadzona na poważnie.

Jedyna presja, z jaką spotykają się rządzący, to ta wywierana przez nastawione partycypacyjnie silne grupy interesu, najczęściej powiązane z oligarchią, przestępcami czy zagranicznym kapitałem (oczywiście kategorie te nie są rozłączne). W „miękkim państwie” obecne jest prawo i działają instytucje, lecz kluczowe dziedziny życia regulowane są w nim przez mechanizmy nieformalne.

Myrdal twierdził przy tym, że przyczyną „miękości” badanych przez niego krajów było zniszczenie przez władze kolonialne tradycyjnych ponadlokalnych ośrodków władzy i dyscypliny społecznej. Kluczowe znaczenie miał też dla niego fakt, że miękkie państwo jest cechą samopodtrzymującą się. Próby reformy „miękkiego państwa” przy pomocy jego instytucji są z góry skazane na porażkę. „Miękkie państwo” pozbawione

jest zdolności do twórczej autorefleksji i samonaprawy.

Czy to nam czegoś nie przypomina? W „Tygodniku Powszechnym” z 1 sierpnia 2010 r. można było przeczytać, że:

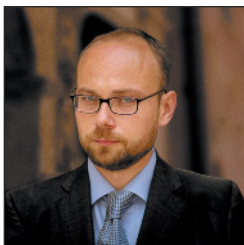
„Każda formacja polityczna próbująca przełamać słabości państwa – przez reformy, próby zmian w prawie bądź w gospodarce – ponosiła klęskę i w końcu zniknęła ze sceny. Rządzić w Polsce oznacza piekielny wybór: albo wyrzec się ambicji trwania przy władzy i podjąć aktywne działania, z oczywistym finałem w postaci spektakularnej przegranej, albo trwać, niczego nie ruszając, bo poruszenie dowolnej cegiełki systemu obarczone jest ryzykiem zawalenia się całości [...]. Polityków w Polsce skazano więc na dylemat, który nie ma dobrego rozwiązania. PO jest pierwszą formacją, która zrozumiała naturę systemu polskiej polityczności [...]. PO znalazła złoty klucz do utrzymywania władzy, nie dlatego że jest bez ambicji, ale dlatego że pierwsza potrafiła obrócić reguły (nie przez nią stworzone) na swoją korzyść”.

Autorem tej, zdaje się, trafnej diagnozy jest nie kto inny, jak tylko obecny minister spraw wewnętrznych Bartłomiej Sienkiewicz. Jak widać, on już swojego wyboru dokonał.

Mirosław Drzewiecki zaś słusznie zwrócił uwagę, że mimo pewnych oczywistych i widocznych symboli nowoczesności (autostrady, stadiony) nasz kraj pod jakimś istotnym względem pozostaje „dziki”. Dekada partycypacji w strukturach UE doprowadziła do jeszcze większego uzależnienia Polski od zewnętrznych stabilizatorów status quo. Jednocześnie dopływ unijnych funduszy i regulacji w żaden sposób nie sprzyja przełamaniu trwałej niezdolności naszego państwa do auto-naprawy.

Nie potrafimy realizować własnych celów

Z Arturem Wołkiem rozmawia Bartłomiej Radziejewski



ARTUR WOŁEK

Politolog, autor książki „Słabe państwo”

Brakuje nam narodowych priorytetów. Strategie pozostają na papierze. Ministrowie są zaś bardziej ambasadorami resortowych układów interesów niż realnymi sternikami.

O tym, że polskie państwo jest słabe, przekonani są chyba wszyscy. Pan jednak napisał o tym książkę. Dlaczego wybrał pan tak banalny temat?

Problem w tym, że z potocznego i banalnego przeświadczenia o słabości naszego państwa niewiele wynika. Jeśli się temu bliżej przyjrzeć, słabość państwa dla mówiącego może oznaczać wszystko: od niezdolności do zapobieżenia aferze Amber Gold, przez brak regulacji in vitro, po korupcję.

Postanowiłem więc sprawę trochę precyzyjniej zbadać i opisać. Przeanalizować słabość polskiego państwa zwłaszcza przez pryzmat sposobu działania instytucji. Pokazać jej obiektywne mechanizmy. Bo poza naszymi poglądami i niezależnie od tego, jak zdefiniujemy cele państwa – czy ma być np. bardziej, czy mniej opiekuńcze – możemy zmierzyć siłę państwa poprzez sprawdzenie, na ile realizuje założone cele.

Tak powstała i o tym jest książka „Słabe państwo”.

Jakie są więc owe mechanizmy naszej słabości?

Są trzy zasadnicze. Pierwszy to bardzo ograniczona zdolność samego definiowania celów, zwanego czasem planowaniem strategicznym. Silne państwa wiedzą, czego chcą; np. Francja – poza momentami eksperymentowania z innymi opcjami czy ulegania presjom – wie, że chce mieć duży sektor publiczny i chronić narodową tradycję przed globalizacją. Tymczasem współczesna Polska często zwyczajnie nie wie, czego chce. Brakuje nam narodowych priorytetów.

Drugi mechanizm słabości naszego państwa to fatalna realizacja tych celów, które już udało się zdefiniować (co tym bardziej dotkliwie, że tak rzadko to się udaje). Weźmy przykład rządowej strategii „Polska 2030” autorstwa zespołu Michała Boniego sprzed kilku lat. W sensie wyznaczania priorytetów to bardzo dobry dokument, abstrahując od zgody lub niezgody na poszczególne rozwiązania. Problem w tym, że po szumnych zapowie-

dziach związanych z tym planem rząd nawet nie zaczął go realizować, choć był to oficjalny program rządowy, czyli dokument, który ma porządkować pracę Rady Ministrów. Strategia pozostała na papierze. I takich przykładów są setki.

Inna, nagminna patologia polega na tym, że rząd czy ministerstwo podejmuje jakąś decyzję, która następnie wykonywana jest w sposób tak odmienny od założeń, że z początkowej reformy prawie nic nie zostaje: np. historia reformy administracji z 1998 r. jest pełna takich zaniechań i wypaczeń. Często biurokracja – teoretycznie podległa ministrowi – ma większą władzę nad procesem legislacyjnym niż szef resortu.

Warcholstwem urzędników Polska stoi?

Problem jest bardziej skomplikowany. Oprócz nadmiaru władzy biurokracji mamy też m.in. dziki lobbing, który odpowiada za wiele ze wspomnianych wypaczeń. O wiele łatwiej „coś załatwić” na poziomie ministerstwa niż rządu – i lobbysty z tej ścieżki nagminnie korzystają.

Do tego dochodzi kwestia resortowości. Ministrowie są często bardziej ambasadorami resortowych układów interesów niż realnymi sternikami.

Kto zatem odpowiada za ten paraliż polityczny?

Rzecz w tym, że łap blokujących realizację założonych celów jest bardzo wiele. Nie ma jednego winnego słabości polskiego państwa. Nie sposób też wszystkich wrzucić do jednego worka z napisem „układ”. A więc są „układy”, ale i układziki; to, co istotne, to brak konsekwentnego mechanizmu bicia po łapach, które wyciągają

się po dobro wspólne, mechanizmu obrony interesu publicznego. Mechanizmy korupcji, które „odkryło” CBA, badając projekty informatyzacyjne w MSWiA, są znane od kilkunastu lat i jeżeli od kilkunastu lat kolejni ministrowie dają się wodzić za nos swoim urzędnikom, nie tworzą procedur utrudniających korupcję w sektorze IT, to zjawisko to musi być pożyteczne dla wielu ważnych graczy. Odpowiedź, że każdy kolejny minister bierze w łapę od firm informatycznych, jest bowiem jawnie nieprawdziwa. Jeżeli w przypadku kolejnych rządów słyszymy, że jakiś

Nasze państwo nie potrafi ze swojej wielkości korzystać. Jest jak upędzony na sterydach osiłek: może wyglądać groźnie, jest w stanie pohłasować, ale gdy przychodzi do przebiegnięcia stu metrów, dostaje zadyszki

dyrektor czy wicedyrektor departamentu występuje w Sejmie wbrew stanowisku rządu i nie traci stanowiska, to zjawisko to musi być dla kogoś pożyteczne, bo przecież nie wszyscy ministrowie to fajtłapy.

A trzeci mechanizm słabości państwa?

To nieudolność w zjednywaniu sobie społecznego poparcia dla przyjętych celów. Wprowadzenie jakiegokolwiek ważniejszej reformy napotyka na silny opór zasie-

działych interesów, można by go – przynajmniej w niektórych przypadkach – przełamać, przeciwstawiając mu szerokie poparcie społeczne. Jeśli szedłby za tym konsensus głównych sił politycznych co do kierunku zmian, szansa na sukces byłaby jeszcze większa. Jednak również pod względem zdolności wypracowywania takiej zgody w istotnych sprawach jesteśmy bardzo słabi.

Nakreślił pan obraz państwa bardzo słabego. Jednak popularny jest też u nas pogląd przeciwny: że państwo jest zbyt duże i zbyt silne. Dlatego biurokracja czy fiskus tak bardzo dokuczają obywatelom, a od partyjnych aparatczyków zależy tak wiele miejsc pracy.

Dlatego właśnie powinniśmy precyzyjnie definiować, czym są słabość i siła państwa. Problemy, o których pan mówi, wynikają nie z siły, lecz z rozmiaru. Z którym z kolei wiąże się słabość, bo nasze państwo nie potrafi ze swojej wielkości korzystać. Jest jak upędzony na sterydach osiołek: może wyglądać groźnie, jest w stanie pohalaśnować, ale gdy przychodzi do przebiegnięcia stu metrów, dostaje zadyszki.

Świetnym tego przykładem jest właśnie fiskus. Przedsiębiorcy postrzegają go jako opresora, ale kiedy spojrzeć na niego w skali makro, okazuje się, że choćby urzędnicy tzw. dużych urzędów skarbowych, czyli tych, które obsługują podatników o przychodach powyżej 5 mln euro, są w stanie skontrolować zaledwie ułamki procentu podatników. Wykrywalność przestępstw podatkowych też jest w związku z tym śmiesznie niska. W zwykłych urzędach skarbowych jest jeszcze gorzej. I to z tej niemocy właśnie płynie opresyjność.

W jaki sposób?

Bo wobec powyższych problemów urzędnik skarbowy odpowiadający za kontrole, gdy już się zabiera do roboty, to chce koniecznie pokazać, że kontroluje efektywnie. Tyle że zamiast grubego aferzystę karze przeważnie drobnego lub średniego przedsiębiorcę, często za niedopełnienie jakichś formalności.

Spójrzmy jednak na problem z drugiej strony. Państwo polskie jest niewątpliwie słabe w sensie zdolności do realizacji dobra wspólnego. Ale już z perspektywy „antyrozwojowych grup interesów” wydaje się całkiem sprawne. Potrafi zniszczyć niewygodnego przedsiębiorcę (także dużego), ukrywać wielomiliardowe przekręty, podtrzymywać wiele koszmarnych patologii w sektorze publicznym, z których pewne grupy bardzo wygodnie żyją. Politologia zna przecież kategorie „państwa przechwyconego”, „neokolonii” czy „kleptokracji”. Czy nie lepiej oddają one istotę rzeczy niż tylko stwierdzenie, że mamy słabe państwo?

Niewątpliwie jest tak, że państwo słabe jest podatne na owo przechwycenie – przez wewnętrzne i zewnętrzne grupy interesów. U nas orientacja na – słabo zdefiniowane, jak mówiliśmy – cele państwa jest nikła nawet wśród funkcjonariuszy państwowych. Przeciętny urzędnik brytyjski czy niemiecki raczej nie oczekuje, że zostanie ministrem lub milionerem. Ale ma podstawy sądzić, że po 10 latach rzetelnej pracy będzie ileś szczebelków wyżej zarówno pod względem statusu zawodowego, jak i majątkowego. I to go pozytywnie motywuje do lojalności wobec interesu publicznego.

W Polsce jest z reguły odwrotnie: od urzędnika wymaga się bardziej lojalności wobec bezpośredniego przełożonego czy też pewnej kliki biurokratycznej niż wobec państwa. I to go do pracy na rzecz interesu publicznego demotywuje.

No dobrze, ustaliliśmy, że mamy słabe państwo i że to oznacza jego podatność na przechwycenie przez „antyrozwojowe grupy interesów”. Ale czy pan uważa to przechwycenie tylko za możliwość, czy za fakt?

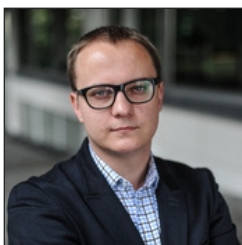
Doszliśmy do kluczowego momentu, w którym muszę przyznać, że nie wiem. Teoria neokolonialna czy teza o państwie przechwyconym przez wiele grup interesów – wydają mi się poznawczo bardzo pociągające. Ale nie potrafię znaleźć empirycznych dowodów potwierdzających ich prawdziwość, polskie nauki społeczne najczęściej także nie potrafią. Dlatego zdecydowałem ograniczyć się do badania mechanizmów instytucjonalnych, bo to jednak konkret. Nawet jeżeli takie podejście ma liczne ograniczenia, to lepszy rydz niż nic.

Jaka jest zatem pańska recepta na patologie, które pan tak wnikliwie opisał?

Diagnoza ze „Słabego państwa” skłania mnie do pesymizmu co do możliwości powodzenia wielkich projektów politycznych. Jednak małe reformy nie są już skazane na porażki. Zdeterminowany, aktywnie działający na rzecz danego projektu polityk może pokonać większość przeszkód i przeprowadzić jakiś dobry pomysł. Dotyczy to też zmian w samym państwie. Zatem do jego uzdrowienia możemy dojść po dłuższym czasie, metodą małych kroków.

„Słabe państwo” jest tu kopalnią wiedzy – o instytucjach, procedurach, mechanizmach rządzenia. Jak długa jest po publikacji tej książki kolejka polityków proszących pana o doradztwo? Jak wiele miał pan cytowań w mediach i pracach naukowych?

(śmiech) Kolejka polityków nie istnieje. Lista cytowań także. Nie czuję się pod tym względem szczególnie poszkodowany, bo w dzisiejszej Polsce jest niestety normą to, że tezy i książki, które próbują użyć narzędzi nauk społecznych do rozumienia rzeczywistości, nie wzbudzają wielkiego zainteresowania ani mediów, ani polityków, ani nawet naukowców z danej dziedziny. No, chyba że cytuje je Jarosław Kaczyński.



BARTŁOMIEJ RADZIEJEWSKI

Redaktor naczelny „Nowej Konfederacji”

Dlaczego nikt nie mówi o „Słabym państwie”?



RAFAŁ MATYJA

Stały współpracownik „Nowej Konfederacji”

Artur Wołek opublikował książkę, która w normalnym państwie stałaby się przyczyną intelektualnego fermentu i dyskusji w mediach. W słabym państwie słabe są jednak nie tylko instytucje rządowe.

Niedomagają także media i przestrzeń debaty publicznej. Dlatego wygodniej jest taką publikację po prostu pominąć milczeniem. Jeżeli jednak ktoś myśli poważnie o projektowaniu polityki polskiej rozumianej jako coś więcej niż „wyborcze naracje”, powinien tę książkę przeczytać i potraktować jako podstawowe ćwiczenie umysłowe.

Zadowoleni i rozczarowani

Debata publiczna w Polsce – również ta toczona w salach wyższych uczelni – oparta jest na emocjach, intuicjach, fobiach. Rzadko na twardych przesłankach. Podbudowanych teoretycznie lub empirycznie argumentach. Także ten jej wątek, który dotyczy oceny życia publicznego po roku 1989, jest domeną dwóch stanów emocjonalnych: poczucia zadowolenia wzmocnionego obawą przed tym, do czego zmierzają niezadowoleni, oraz rozczarowania wzmocnionego lękiem przed skutkami, jakie może przynieść dalsze trwanie w samozadowoleniu.

Pozycja Artura Wołka jest próbą sformułowania rzeczowych argumentów, które są bliskie stanowisku „rozczarowanych”, ale dla jego wyrażenia używają narzędzi i języka, którym na co dzień posługują się „zadowoleni”. Jest przy tym nie tylko sprytną sztuczką intelektualną, ale próbą stworzenia przestrzeni, w której jedni i drudzy mogą już rozmawiać i przyznawać sobie rację lub kwestionować argumenty w sposób rzeczowy, a nie jedynie poprzez „demaskowanie” prawdziwego oblicza przeciwnika.

„Słabe państwo” jest nie tylko diagnozą pewnego stanu rzeczy, lecz zaproszeniem do rozmowy, której przestrzeń została opisana tak, by rozmowa w ogóle była możliwa. Trzeba przy tym od razu stwierdzić, że to nie pierwsza taka próba Wołka. Poprzednia dokonana w książce „Demokracja nieformalna”, choć była intelektualnym zwycięstwem w wymiarze publicznym, okazała się porażką.

Mimo że tworzyła doskonałą przestrzeń opisu zamiaru, który towarzyszył politykom PiS i państwowcom z PO, zos-

tała w debacie lat 2005–2007 zupełnie pominięta. Nie tylko przez tych, którzy szukali jedynie intelektualnego kija na partię braci Kaczyńskich. Także przez tych, którzy gotowi byli używać wszystkich argumentów, by polityki tej partii bronić.

Przemilczano zasadniczą tezę tej książki, mówiącą o tym, że rzeczywiste reguły polityki zostały ustanowione w 1989 w taki sposób, by chronić bezpieczeństwo obu umawiających się elit, a zarazem blokować rozwój normalnej republiki konstytucyjnej. „Zadowoleni” nie chcieli słuchać o żadnych „rzeczywistych regułach”, skryci za fasadą porządku konstytucyjnego. „Rozczarowani” woleli opowieści o układzie i spisku, do końca nie wierząc w systemową barierę działań PiS.

Narracja o regułach i systemie została odrzucona także przez media, które – nawet gdy starają się porzucić logikę tabloidu – namiętnie personalizują każdy problem i odrzucają interpretacje „bezosobowe”. I choć Wołek stara się wyjść naprzeciw mentalności czytelników, prezentując w jednej i drugiej publikacji liczne studia przypadków, to i tak spotyka się z niezrozumieniem, gdyż przypisuje im zaledwie status przykładów ilustrujących działania pewnej reguły.

Dwie wizje wzmocnienia państwa

Warto jednak wyjaśnić, że Wołek nie jest po prostu przedstawicielem „rozczarowanych”. Z główną formacją polityczną reprezentującą to nastawienie – Prawem i Sprawiedliwością – dzieli go sporo. Według autora bowiem słabość państwa „polega na słabych instytucjach umożliwiających formułowanie i wcielanie w życie określonej polityki”.

Definicja ta różni się od tej, którą posługiwali się politycy PiS, wskazując

przede wszystkim na mechanizmy funkcjonujące w sferze bezpieczeństwa i wymiaru sprawiedliwości zarówno w obrębie władzy wykonawczej (policja, prokuratura, służby), jak i sędziowskiej.

To różnica znacząca. Nie tylko ze względu na wnioski polityczne, jakie wyciągał z tej diagnozy rząd Jarosława Kaczyńskiego, lecz także z przyczyn bardziej fundamentalnych, dotyczących pytania „gdzie jest państwo?”.

Przemilczano zasadniczą tezę tej książki, mówiącą o tym, że rzeczywiste reguły polityki zostały ustanowione w 1989 r. w taki sposób, by chronić bezpieczeństwo obu umawiających się elit, a zarazem blokować rozwój normalnej republiki konstytucyjnej

Wołek koncentruje się na „planowaniu i realizowaniu polityki”, czyli na funkcjach rządu, mniej uwagi poświęca zdolności państwa do eliminowania przestępczych lub szkodliwych zachowań jednostek i grup. Przesunięcie ciężaru zainteresowań w stronę governance wydaje się przy tym świadomą próbą skoncentrowania uwagi na kwestiach, które mogą ulegać naprawie w zasadzie bez względu na to, kto rządzi.

W tym sensie wskazanie samego autora, iż powołanie Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji „doprowadziło do utraty kontroli przez państwo nad tą dziedziną spraw publicznych”, a działania pozosta-

łych agencji regulacyjnych „również obniżają potencjał państwa”, możemy uznać za opisanie pożądanego kierunku rewizji obecnej praktyki ustrojowej. Jednak nawet tak zredukowany program wzmocnienia państwa nie ma dziś dostatecznego poparcia politycznego.

Klęska pozytywnego instytucjonalizmu

„Pozytywny instytucjonalizm”, nawet w jego konserwatywnej – nieco bardziej pesymistycznej niż liberalna – wersji poniósł w Polsce polityczną i kulturową porażkę. Nieprzypadkowo apogeum jego wpływów przypadło na lata 2004–2005 i przygotowania do rządów koalicji PO-PiS. Jego najważniejsi reprezentanci Jan Rokita i Ludwik Dorn stali się ofiarami porażki tego nurtu w sensie dosłownym. Inni, jak Kazimierz Ujazdowski czy Paweł Szalamacha, nie wpływają w sposób istotny na definiowanie obecnego programu PiS.

Część komentatorów bliższa jest zatem pogładowi, który nazwałbym negatywnym instytucjonalizmem, przekonanym o złym działaniu instytucji i obowiązujących w nich reguł, ale zarazem niechętnym do formułowania recept ustrojowych. Negatywny instytucjonalizm wpisuje się idealnie w obecny stan emocjonalny prawicy, która postuluje przede wszystkim radykalną wymianę rządzących elit. I to zarówno gdy chce, by proces ten dokonał się za sprawą rządów partii (PiS), jak i za sprawą wyborczej kartki (zwolennicy JOW od Kukiza i Dudy po Wiplera i Gowina).

Praca Wołka jest zatem raczej intelektualnym rozliczeniem z polityką ostatniego dziesięciolecia niż projektem, który mógłby zostać podjęty obecnie. Wołek zdaje się świadomy wyczerpania się poli-

tycznego potencjału „pozytywnego instytucjonalizmu” zarówno na polskiej scenie politycznej, jak i w wymiarze szerszym – wskutek kryzysu gospodarczego ostatnich lat. Przesłanie tego nurtu w odniesieniu do kłopotów takich państw jak Grecja może się raczej sprowadzać do gorzkiego „a nie mówiłem”. Nie jest natomiast źródłem recept adekwatnych do ich obecnego stanu.

Fakt, że inne nurty także nie potrafią ich sformułować, z pewnością instytucjonalistów nie tłumaczy. Raczej wymusza poszukiwanie istotnej korekty własnych założeń. W tym dziele książka Wołka może okazać się bezcenną pomocą, rodzajem mapy terenu demaskującej nie tylko problemy realne, lecz także błędy doktrynalne. Nie tylko złe skutki naiwnych koncepcji transformacyjnych, pod których dyktando reformowano postkomunistyczną Europę Środkową, ale również tych, które poszukiwały bardziej realistycznego, a zarazem bliższego specyfice danego kraju programu zmian.

Pozytywny przypadek oporu wobec działań banku Unicredito jest bowiem tyleż pochwałą „pozytywnego instytucjonalizmu”, ile opisem znaczenia politycznej woli i wyobraźni rządzących. Pokazuje, że nawet w niekorzystnym otoczeniu ustrojowym możliwa jest znacznie lepsza polityka. Ponadto zakreśla wymiar politycznej zmiany: musi być ona zgodna z zasadniczym kierunkiem rządu, korzystać ze wsparcia koalicji, a zarazem musi być prowadzona przez osoby o najwyższych kompetencjach merytorycznych. Może natomiast być oparta na stosunkowo wąskiej grupie.

Wydaje się, że właśnie ten case może posłużyć za wzór innej niż instytucjonalizm politycznej doktryny. Dostosowanej bardziej do realiów polityki na poły peryfe-

ryjnej, do warunków trwałego osłabienia instytucjonalnego, a zarazem całkiem skutecznej. Warto zatem czytać Wołka uważnie – nie tylko tam, gdzie prowadzi regularne bitwy w przestrzeni teorii politologicznej, lecz także tam, gdzie buduje studia przypadków. Warto też budować pomysły na politykę tam, gdzie może ona w istotny

sposób zmieniać rzeczywistość, a nie tylko nasycać ją nowymi retorycznymi figurami.

Artur Wołek

„Słabe państwo”

Ośrodek Myśli Politycznej

Instytut Studiów Politycznych PAN

2012

Wojna ze „śmieciówkami” to tylko reformatorski spektakl



KRZYSZTOF BOSAK

Stały współpracownik „Nowej Konfederacji”

Dwa tygodnie temu Donald Tusk zapowiedział rozprawę z umowami śmieciowymi. Skoro taką zapowiedź ogłoszono, to musi istnieć poparcie dla planów premiera. Pytanie tylko, dlaczego

Rząd nie kryje, że oskładkowanie tych form zatrudnienia może negatywnie wpłynąć na rynek pracy, a dla zatrudniających będzie oznaczało dodatkowe obciążenia fiskalne. Jak to więc możliwe, że tego typu postulat stał się tak nośny społecznie?

Po pierwsze, większość ludzi nie do końca rozumie, że poprzez zmniejszenie wynagrodzeń na rękę i pewne zwiększenie bezrobocia, sama za te zmiany zapłaci. Po drugie, liczba osób zatrudnianych wyłącznie na umowy cywilno-prawne jest mniejsza, niż się powszechnie sądzi. Według danych Ministerstwa Pracy w 2012 r. było to zaledwie 0,7 mln na ponad 16 mln (legalnie) pracujących Polaków. Można więc wokół relatywnie nielicznej grupy społecznej rozegrać długotrwały reformatorski spektakl.

Obecne różnice w możliwych formach zatrudnienia, poprzez sposób opodatkowania, stwarzają silne zachęty fiskalne do rozliczania się z pracownikiem w formie umów cywilno-prawnych. Na przykład opodatkowanie umów o dzieło, z wykorzystaniem możliwych ulg, może być nawet

kilkukrotnie „tańsze” niż zatrudnienie za te same pieniądze na umowę o pracę. Różnica jest więc ogromna.

Rząd zamierza tę dysproporcję zmniejszyć, wprowadzając obowiązek odprowadzania składek na ubezpieczenia społeczne od każdego rodzaju umowy, a tych, którzy nie będą mu się chcieli poddać – wypchnie na nowy i przejściowo tańszy tryb samozatrudnienia. Wedle założeń ma to pozwolić na eliminację problemu ludzi bez prawa do ubezpieczeń społecznych.

Warto jednak zauważyć, że to nie jedynie możliwe do zastosowania rozwiązanie.

Zamiast wprowadzać składki na wszelkiego rodzaju umowy, być może lepiej pomyśleć o całkowitej likwidacji takiego narzędzia fiskalnego? Składka zdrowotna już obecnie jest w zasadzie zdublowaniem podatku dochodowego. Przecież obecnie zakres czy jakość świadczeń zdrowotnych wcale nie są uzależnione od kwot odprowadzanych w składce na NFZ!

Nic więc nie stoi na przeszkodzie, aby prawo do publicznej ochrony zdrowia przyznać każdemu i finansować je bezpośrednio z budżetu. Z przymusowej, procentowo określonej, składki emerytalnej także można by zrezygnować bez żalu, wprowadzając w jej miejsce emeryturę obywatelską.

Ani ZUS, ani NFZ nie musiałyby już zajmować się analizą stanu składek dzieciaków milionów obywateli. Fundusze te zapewniałyby wyłącznie świadczenia (emerytalne, zdrowotne), a pracownik wraz z pracodawcą mógłby zamiast podatku dochodowego i kilku rodzajów składek odprowadzać jeden podatek, w wymiarze – po uśrednieniu – mniej więcej sumy dotychczasowych danin. Czyż nie byłoby taniej i prościej?

Rozwiązanie takie wymagałoby jednak zaakceptowania nowej stawki podatku dochodowego. Określałaby ona rzeczywiste koszty pracy, zapewne niższe niż obecnie dla „umów o pracę”, ale zarazem wyższe niż przy rozliczeniu na umowę o dzieło.

Dlatego należałoby nie tylko zlikwidować składki. Trzeba by zastosować dla umów o pracę na czas nieokreślony stawkę podatku np. o jeden punkt procentowy niższą niż w wypadku innych form zatrudnienia i samozatrudnienia. Jestem przekonany, że w ciągu kilku miesięcy każdy wykonujący regularną pracę otrzy-

małby do podpisania właściwą umowę i zniknęliby „podatkowi” samodzielni przedsiębiorcy.

**Nic nie stoi na przeszkodzie,
aby prawo do publicznej
ochrony zdrowia przyznać
każdemu i finansować je
bezpośrednio z budżetu.
Z przymusowej, procentowo
określonej składki
emerytalnej także można by
zrezygnować**

Propozycje rządowych reform zapewne jednak nie dotkną takich koncepcyjnych fundamentów systemu i skończy się na nieznacznej korekcie. Popularne są przypuszczenia, że chodzi tylko o intensyfikację wpływów do ZUS, który z trudem wiąże koniec z końcem. Jeśli to prawda, temat umów śmieciowych będzie elektryzował opinię publiczną jeszcze przez wiele lat, a kolejne Rady Ministrów będą się ścierać w populizmie, okazując, że dążą do „zmniejszenia skali niesprawiedliwości”.

Obama chce obronić cyberszpiegów



MICHAŁ KUŹ

Redaktor „Nowej Konfederacji”

Trzeba to powiedzieć wprost. Niedawne deklaracje Baracka Obamy w sprawie cyfrowej inwigilacji są najwykleszą zasłoną dymną. Prezydent USA broni swoich służb, jak tylko może.

Stare przysłowie mówi, że poznajemy, iż polityk kłamie po tym, że rusza ustami. W większości wypadków to opinia mocno przesadzona. W przypadku Obamy jego retoryczny tupet musi jednak wprawiać w osłupienie nawet najbardziej doświadczonych komentatorów.

Oto w weekend prezydent USA chwali się niemieckiej stacji ZDF, że „położy kres systemowi cyberinwigilacji w jego obecnym kształcie”. Zaznacza też, że pod żadnym pozorem nie chce zaszkodzić stosunkom niemiecko-amerykańskim, i obiecuje, iż amerykańskie służby nie będą już podsłuchiwać głów zaprzyjaźnionych państw.

Poza deklaracjami nie widać jednak żadnych ruchów dyplomatycznych ani nowych regulacji. Mało tego, w Stanach głowa państwa otwarcie stwierdza, że nadal zamierza inwigilować liderów państw sojuszniczych wtedy, kiedy tylko będzie tego wymagało „bezpieczeństwo narodowe”.

Obama mówi też, że zbieranie metadanych, czyli informacji dotyczących tego, kto, kiedy i z kim się kontaktuje, jest niegroźne. Zeznający kilka dni wcześniej

przed senacką komisją były dyrektor CIA stwierdza zaś coś wręcz przeciwnego. Jak to ujął: „Metadane zawierają całkiem dużo treści. Już jeśli ma się zwykły billing rozmów danej osoby, można się o niej dowiedzieć przerażająco wiele”.

Prezydent udaje również, że nie słyszy coraz głośniejszych słów organizacji obywatelskich i prawników sprzeciwiających się gromadzeniu astronomicznej ilości elektronicznych danych przez wywiadowców.

Zamiast podjąć konkretne działania, Obama wykonał bowiem coś, co jeden z analityków nazwał zręcznym „wybiegiem”. Pierwszy obywatel zapowiedział mianowicie, że dane gromadzone przez podległe mu służby nie będą przechowywane na serwerach rządowych, tylko na sprzęcie należącym do firm prywatnych. Innymi słowy, zamiast zająć się sednem całej sprawy, Obama obiecuje zmienić napisy na kilkudziesięciu biurkach.

Należy przy tym także podkreślić, że mniej inwazyjne zbieranie danych niebędących zapisami samych rozmów dotyczy

tylko obywateli USA. W przypadku dowolnego obcokrajowca, w dowolnym miejscu globu służby amerykańskie nadal nie będą miały żadnych skrupułów. Wciąż będą mogły w majestacie prawa do cna odrzeć delikwenta z jego prywatności, a wszystko dla dobra swojego „bezpieczeństwa narodowego”.

Prezydent mógłby oczywiście położyć kres amoralnym praktykom swoich służb jednym podpisem. Mimo to woli zwodzić i lawirować, narażając się na polityczne ataki zarówno z lewa, jak i z prawa. Pojawia się więc pytanie, dla kogo tak naprawdę głowa państwa wykonuje swoje karkołomne, retoryczne akrobacje? Czyżby faktycznie była księżciem z traktatu Machiavellego; człowiekiem, który poświęca własną cnotę, byleby zapewnić obywatelom bezpieczeństwo?

Cóż, warto tu przypomnieć, że w Stanach zatrudnienie w całym rządowym sektorze zbierania tajnych danych zbliża się powoli do miliona. Jednocześnie zaś według coraz większej liczby analityków obsesyjne gromadzenie zettabajtów informacji przynosi zaskakująco mało rezultatów lub działa tylko w połączeniu z tradycyjnymi metodami śledczymi.

New American Foundation w ogłoszonym niedawno raporcie pisze np., że

w zbadanej przez nią dość pokaźnej grupie skazanych lub zabitych terrorystów w ok. 60. proc. przypadków do namierzenia doszło przy użyciu tradycyjnych metod policyjnych. Masowa cyberinwigilacja w stylu NSA była zaś decydująca tylko w 1,8 proc. przypadków.

Obama mógłby oczywiście położyć kres praktykom swoich wywiadowców jednym podpisem. Mimo to nic nie robi, woli zwodzić i lawirować, narażając się na polityczne ataki zarówno z prawa, jak i z lewa

Czyżby więc Barackowi Obamie i jego zausznikom nie chodziło wcale o faktyczny terrorizm, tylko o interesy rozrastającego się w geometrycznym tempie aparatu biurokratycznej kontroli? Wątpię, aby ktośkolwiek usłyszał w tej sprawie od prezydenta szczerą odpowiedź. W końcu ostatecznie na szczerą nie potrafi go już namówić nawet pierwsza dama.

Nasza kolej na rozdrożach



MICHAŁ BEIM

Ekspert w zakresie transportu, komunikacji miejskiej oraz planowania przestrzennego

To swoisty paradoks, że państwo niemające własnego przemysłu motoryzacyjnego ani nawet własnych marek stawia sobie za priorytet rozbudowę infrastruktury drogowej, a nie rozbudowę infrastruktury transportu publicznego, którego jest znaczącym producentem.

Twierdzenie, iż Polska stoi koleją, może wywoływać u podróżnych ironiczny uśmiech. W odniesieniu do przemysłu to jednak prawda. Polskie firmy, zarówno te produkujące tabor, jak i elementy związane z funkcjonowaniem sieci kolejowych stają się powoli szlagierem eksportowym i polską marką na zagranicznych rynkach.

Siła polskiego przemysłu

Oprócz firm z rodzimym kapitałem w Polsce swoje zakłady posiadają międzynarodowi giganci, np. Bombardier czy Stadler. Zakłady te produkują nie tylko na krajowy rynek, ale przede wszystkim na eksport.

Co więcej, jeśli uwzględnić sektor transportu publicznego, to również i tu polskie przedsiębiorstwa sobie świetnie radzą. Autobusy Solarisa są na ulicach większości państw Europy, pociągi Newagu objeżdżać będą Etnę, tramwaje marki PESA będą polskim akcentem w Moskwie.

Zły image kolei jest po części wynikiem chaosu spowodowanego podziałem dawnych Polskich Kolei Państwowych na dziesiątki spółek. Proces ten miał miejsce w prawie całej Europie, jednak tam poważnie potraktowano unijne oczekiwania odnośnie do liberalizacji.

Fikcyjna konkurencja

W Polsce, aby zwiększyć konkurencję, wydzielono podmioty odpowiedzialne za: infrastrukturę, przewozy towarowe, przewozy pasażerskie – dalekobieżne i pasażerskie – regionalne. W zakresie przewozów towarowych, pasażerskich i dalekobieżnych podmioty miały bezpośrednio walczyć o klienta; a na rynku przewozów regionalnych o dostęp na rynek regulowany. Jednak w obu segmentach przewozów pasażerskich zaistniał de facto monopol, dodatkowo konserwowany unijnymi pieniędzmi.

Na poziomie regionów przetargi organizowane są czasem nawet tylko z kil-

kutygodniowym wyprzedzeniem, co unie­możliwia wejście na rynek nowych pod­miotów. W przewozach dalekobieżnych odstąpiono od uwolnienia rynku i duży segment (tj. pociągi TLK spółki PKP In­tercity) jeździ w ramach służby publicznej, tj. z dofinansowaniem pieniędzmi podat­nika.

Jesienią 2010 r. rząd zdecydował, że na dofinansowanie przewozów między­wojewódzkich do 2020 r. ma zostać prze­znaczone ok. 2 785 mln zł. We wrześniu 2013 r. PKP Intercity wynegocjował zwięk­szenie tej kwoty o 1,7 mld zł. Poza tym spółka otrzymuje dofinansowanie unijne remontów wagonów, zakupu składów Flirt oraz Pendolino. Z perspektywy budżetowej 2007–2013 to już blisko 2 mld zł. W pla­nach jest publiczne wsparcie dla zakupu lokomotyw oraz wagonów piętrowych.

Mimo to nadal maleje liczba podróz­nych (o blisko 12 proc. w porównaniu roku 2013 z 2012) i likwidowane są kolejne pociągi. Można więc pokusić się o wniosek, że ograniczona do minimum konkurencja powoduje, iż przewoźnicy przestają wal­czyć aktywnie o pasażerów, a sama infra­struktura jest stosunkowo mało efektywnie wykorzystywana.

Błędna strategia rozwoju

Już dziś statystyki powinny wzbudzać re­fleksję. W świetle danych Eurostatu za 2011 r. Polska ma drugi najwyższy odsetek podróży samochodem w Europie, zaraz po Litwie. W Polsce autami odbywa się 89,1 proc. wszystkich podróży (mierząc w pasażerokilometrach). To wskaźnik znacznie wyższy niż w przypadku potęg motoryzacyjnych takich jak Niemcy (86 proc.), Francja (83,8 proc.) czy Włochy (82,8 proc.). Wykorzystanie samochodu w Polsce jest też wyższe niż w krajach

o bardzo niskiej gęstości zaludnienia, gdzie obsługa transportem publicznym jest bardzo trudna (Szwecja – 83,3 proc., Finlandia – 85,1 proc.).

Obecna sytuacja w Polsce jest w dużej mierze wynikiem oddania polityki transportowej drogowcom, a nie – jak to ma miejsce na świecie – specjalistom od rozwoju regionalnego i planistom przestrzennym

Obecna sytuacja w Polsce jest w dużej mierze wynikiem oddania polityki trans­portowej drogowcom, a nie – jak to ma miejsce na świecie – specjalistom od roz­woju regionalnego i planistom przestrzen­nym. Ponadto polityka transportowa roz­wijana jest w oderwaniu do innych strategii rozwojowych dotyczących energii, demo­grafii, gospodarki. Nic więc dziwnego, że trudno o synergię.

Co może Unia?

Jest jeszcze za wcześnie, aby podsumować w dziedzinie transportu kończącą się per­spektywę budżetową Unii Europejskiej na lata 2007–2013. Warto jednak przyjrzeć się dotychczasowym osiągnięciom w kon­tekście nowego budżetu 2014–2020.

W pierwszej perspektywie finansowej Wspólnoty Europejskiej, w której Polska brała udział (2004–2006), wykorzystanie funduszy na kolej było możliwe dzięki zakwalifikowaniu warszawskiego metra jako kolei, a nie komunikacji miejskiej.

W drugiej perspektywie finansowej na lata 2007–2013 nie obyło się bez licznych problemów i nadal nie wiadomo, w jakim zakresie uda się wykorzystać środki na kolej. Inwestycje jeszcze trwają, a ewentualne opóźnienia mogą uniemożliwić rozliczenie inwestycji do końca 2015 r.

Obecna sytuacja w Polsce jest w dużej mierze wynikiem oddania polityki transportowej drogowcom, a nie – jak to ma miejsce na świecie – specjalistom od rozwoju regionalnego i planistom przestrzennym.

Z zaistniałej sytuacji należy wyciągnąć wnioski, aby w trzecim budżecie UE – na lata 2014–2020 – można było sprawnie przeprowadzić inwestycje.

Problemy z modernizacją i rewitalizacją

Największym utrudnieniem dla kolei był jednak fakt, że rząd na początku 2011 r. postanowił przesunąć 1,25 mld euro z unijnych funduszy kolejowych na budowę dróg. Argumentem za tym miała być sprawna absorpcja środków dokonywana przez Generalną Dyрекcję Dróg Krajowych i Autostrad oraz ogromne problemy z realizacją inwestycji przez narodowego zarządcę infrastruktury kolejowej – PKP Polskie Linie Kolejowe SA.

Debaty z Komisją Europejską trwały ponad rok, choć stanowisko premiera Donalda Tuska od samego początku brzmiało w Brukseli jak ponury dowcip. Kraj, który nie tylko doświadcza zapaści kolei, ale również daleki jest od tego, aby zapewnić jej przynajmniej 40 proc. funduszy na transport, chciał jeszcze więcej pieniędzy na drogi.

Rozmowy w Brukseli spełzły na niczym, a rok można uznać w dużej mierze za zmarnowany dla kolei. Jedynym suk-

cesem było to, że Komisja Europejska dopuściła finansowanie rewitalizacji. Do tychczas KE stała na stanowisku, że środki unijne mogą iść na modernizację, czyli takie remonty, które zapewniają interoperacyjność kolei – znoszą bariery techniczne, aby móc stworzyć wspólny rynek i stymulować konkurencję pomiędzy przewoźnikami.

Zaletą rewitalizacji (przywrócenia do stanu używalności) są niewątpliwie niższe koszty przy niewiele gorszych parametrach dla podróżnych. Realizuje je się też szybciej – zazwyczaj w ramach zgłoszenia remontów, dzięki czemu można w większości pominąć skomplikowaną procedurę uzyskiwania pozwoleń.

W przypadku modernizacji (mającej na celu dostosowanie sieci kolejowej do unijnych standardów interoperacyjności) największym problemem są wysokie koszty i brak koordynacji inwestycji kolejowych. Sztandarowym przykładem jest linia Warszawa–Trójmiasto, której modernizacja pochłonie ponad 9 mld zł.

Obrazu dopełniają opóźnienia inwestycyjne. Części modernizacji linii Warszawa–Radom czy Poznań–Wrocław nie da się już zrealizować w obecnym budżecie UE, choć obie były w nim planowane. Co więcej, trasa łącząca stolicę Wielkopolski i Dolnego Śląska miała być pierwotnie gotowa na Euro2012.

Nie da się ukryć, że z inwestycjami torowymi marszałkowie województw radzą sobie lepiej niż rząd. Dzięki regionalnym programom operacyjnym w wielu województwach (np. w wielkopolskim czy kujawsko-pomorskim) udało się wyremontować i uatrakcyjnić kolej na trasach, które pierwotnie PKP PLK SA przewidywało do zamknięcia.

Rodzi się więc zasadnicze pytanie, czy akcent nie powinien być przesunięty

z wielkich inwestycji na realizowane z mniejszym rozmachem, ale bardzo liczne działania ważne z punktu widzenia regionów?

Zmiana paradygmatów

Planowane przez UE zwiększenie inwestycji kolejowych jest wielką szansą dla polskiego przemysłu. Duży potencjał stwarzają też fundusze na badania i rozwój w zakresie transportu szynowego. Szczegóły jeszcze nie są ustalone, ale mowa jest nawet o miliardzie euro, z którego mogliby skorzystać polscy dostawcy produkujący dla kolei.

By jednak odpowiednio te pieniądze wykorzystać, nasz budżet na lata 2014–2020 powinien pod względem wydatków na kolej znacząco różnić się od dotychczasowej praktyki.

Należy zwiększyć partycypację samorządów, umożliwić konkurencję na torach, a inwestycje taborowe nakierować na państwowe spółki leasingowe, które wypożyczałyby tabor wyłonionym w przetargach przewoźnikom, zamiast wspierać jedynie słusznego państwowego przewoźnika. Podejście do kolei wymaga więc zmiany paradygmatów. Z korzyścią dla pasażerów i gospodarki.

Wesprzyj nas

Dzięki Darczyńcom „Nowa Konfederacja” powstała i działa. Dzięki Darczyńcom będzie mogła nadal istnieć i rozwijać się.

Dlatego prosimy o wsparcie! Każda złotówka, jeśli ma charakter stałego zlecenia przelewu, ma dla nas istotne znaczenie.

Wpłaty prosimy kierować na rachunek bankowy wydawcy „Nowej Konfederacji”, Fundacji Nowa Rzeczpospolita:

09 1560 0013 2376 9529 1000 0001 (Getin Bank)

W tytule przelewu prosimy wpisać: „darowizna na cele statutowe”.

Dlaczego warto nas wspierać?

Rynek w obecnej postaci nie sprzyja poważnej debacie o państwie i polityce. Dowodem są wszechobecne i pogłębiające się procesy tabloidyzacji i upartyjnienia mediów opiniotwórczych. Z drugiej strony, zaawansowana wiedza o polityce jest coraz częściej dostępna jedynie dla nielicznych i za coraz większymi opłatami. W Polsce dochodzi do tego problem finansowania wielu ośrodków opiniotwórczych zza granicy i głęboki kryzys mediów (z nazwy) publicznych.

Jeśli ten trend ma się odwrócić, **potrzebny jest alternatywny, obywatelski model finansowania mediów**. Dobrowolny, stały mecenat wystarczająco dużej liczby Polaków umożliwi nam stworzenie prężnego ośrodka intelektualnego. Niezależnego zarówno od partii, od wielkiego kapitału, od gustów masowej publiczności, jak i od zagranicznych ośrodków. I dostarczenie darmowej, zaawansowanej wiedzy o polityce zainteresowanym nią obywatelom.

„Nowa Konfederacja” to (na gruncie polskim) projekt pionierski także pod względem sposobu finansowania. Działamy bowiem właśnie dzięki mecenatowi obywatelskiemu.

Każde stałe zlecenie przelewu jest ważne! **Dołącz do grona naszych Darczyńców i wspieraj media naprawdę publiczne!**

O nas

„Nowa Konfederacja” to pierwszy w Polsce internetowy tygodnik idei. Koncentrujemy się na tematyce politycznej o znaczeniu strategicznym. „NK” to medium misyjne, tworzone przez obywateli – dla obywateli. Jako pierwsi w Polsce działamy profesjonalnie wyłącznie dzięki wsparciu Darczyńców.

Stawiamy sobie **trzy cele główne.**

Po pierwsze, chcemy tworzyć miejsce poważnej debaty o państwie i polityce.

Dziś takiego miejsca w Polsce brakuje. Wskutek postępujących procesów tabloidyzacji oraz uzależnienia mediów opiniotwórczych od partii i wielkiego kapitału, brak ten staje się coraz bardziej dotkliwy.

Stąd, w środowisku skupionym dawniej wokół kwartalnika „Rzeczy Wspólne” – poszerzonym po rozstaniu z Fundacją Republikańską w kwietniu 2013 o nowe osoby – powstał pomysł stworzenia internetowego tygodnika idei. Niekomercyjnego i niezależnego medium, wskrzeszającego formułę głębokiej publicystyki. Mającego dostarczać zaawansowanej wiedzy o polityce w przystępnej formie.

Nasz drugi cel to pełnienie roli pośrednika między światem ekspercko-akademickim a medialnym.

Współczesna Polska jest intelektualną półpustynią: dominacja tematów trzeciorzędnych sprawia, że o sprawach istotnych mówi się i dyskutuje rzadko, a jeśli już, to zazwyczaj na niskim poziomie. Tym niemniej, w świecie akademickim i eksperckim rodzą się niekiedy ważne diagnozy i idee. Media głównego nurtu przeważnie je ignorują. „Nowa Konfederacja” – ma je przybliżyć.

Cel trzeci to aktualizacja polskiej tradycji republikańskiej.

Republikanizm przyniósł swego czasu Polsce rozkwit pod każdym względem. Uważamy, że jest wciąż najlepszym sposobem myślenia o polityce – i uprawiania jej. Co więcej, w dobie kryzysu demokracji, jawi się jako zarazem remedium i alternatywa dla liberalizmu. Jednak polska tradycja republikańska została w dużym stopniu zapomniana. Dążymy do jej przypomnienia i dostosowania do wymogów współczesności.

Dlaczego konfederacja? Bo to instytucja esencjonalna dla polskiej tradycji republikańskiej – związek obywateli dążących razem do dobra wspólnego w sytuacji, gdy inne instytucje zawodzą. W naszej historii konfederacje bywały chwalebne (konfederacja warszawska 1573 r., sejmy skonfederowane jako remedium na liberum veto), bywały też zgubne (Targowica). Niemniej, zawsze były potężnym narzędziem obywatelskiego wpływu na politykę.

Dzisiejszy upadek debaty publicznej domaga się nowej konfederacji!

„Nową Konfederację” tworzą

Darczyńcy:

Czterdziestu Sześciu Anonimowych Darczyńców, Jacek Bartosiak, Jerzy Martini, Marek Nowakowski, Krzysztof Poradzisz, Piotr Remiszewski

Redakcja:

Michał Kuź (p.o. sekretarza redakcji), Bartłomiej Radziejewski (redaktor naczelny), Aleksandra Rybińska, Przemysław Skrzydelski.

Redaktor prowadzący:

Michał Kuź

Stali współpracownicy:

Jacek Bartosiak, Michał Beim, Krzysztof Bosak, Tomasz Grzegorz Grosse, Maciej Gurtowski, Bartłomiej Kachniarz, Krzysztof Koehler, Andrzej Maśnica, Rafał Matyja, Anna Mieszczanek, Barbara Molska, Agnieszka Nogal, Grzegorz Pytel, Adam Radzimski, Stefan Sękowski, Zbigniew Stawrowski, Tomasz Szatkowski, Stanisław Tyszka, Piotr Woyke.

Grafika (okładki):

Piotr Promiński

Administracja stroną internetową, korekta, redakcja stylistyczna:

Przemysław Skrzydelski

Skład:

Rafał Siwik

Wydawca:

Fundacja Nowa Rzeczpospolita

Kontakt:

redakcja@nowakonfederacja.pl

Adres (wyłącznie do korespondencji):

Al. Solidarności 115, lok. 2, 00-140 Warszawa